

Październik

MARCIN BEŁZA

Poddaję się, czyli raport z porażki

Nie wiem, co z państwem zrobi ten potężny tekst. Jak przetka sieć waszych wrażliwości. Mogę wyłącznie próbować zdać relację z tego, co *Szczelinami* – ten zapis doświadczeń poetki narratorki, w których odbijają się ciało, tworzenie, miłość, macierzyństwo, samotność i poczucie kresu – zrobiło ze mną.

Nasze fantazyjne interpretacje nie naruszają samych tekstów, którym udaje się przeżyć komentarze; najmniejsza jednak nieostrożność przy odnawianiu rzeczy kutyh w kamieniu, najmniejsze położenie nawierzchni tam, gdzie od wieków rosła spokojnie trawa, przynosi szkody nie do powetowania. Piękno oddala się; autentyczność także^[1].

Zawsze ufaj opowieści

Zaczynam fragmentem z Yourcenaar, żeby powiedzieć, iż uchylam się od podawania ostatecznej interpretacji, czym jest (lub nie jest) najnowsza powieść (?) Wita Szostaka



[1] M. Yourcenaar, *Zapiski do «Pamiętników Hadriana»*, w: Marguerite Yourcenaar, *Pamiętniki Hadriana*, przełożyła K. Dolatowska, Karakter, Kraków 2022, s. 342.

Wit Szostak, *Szczerkami. Powieść*, Powergraph, Warszawa 2022

Szczelinami. Poddaję się i mam ku temu kilka, dla mnie ważkich, powodów.

Po pierwsze, powieść jest rozpisana na ponad trzysta wierszy poetki, bohaterki i narratorki (?) utworu Szostaka – tak, wierszy! Zatem wypadałoby dobrą krytykę zacząć od rozważań gatunkowych. Dlaczego powieść, skoro jest zapisana (nie)wierszem („niewiersz” to określenie samej poetki, narratorki (?), fikcyjnej (?) autorki wierszy, z których zrobiona jest ta proza)?

Gołym okiem widać więc, że już tu dla krytyka zaczynają się poważne kłopoty. Należałoby rozstrzygnąć, kto do nas mówi, wejrząc w narrację i metanarrację. Ktoś przecież te wiersze wybrał i ułożył; ktoś zdecydował się nie dodać brudnopisu, komentarzy; ktoś wybrał okres twórczości – lata 1997–2021 – reprezentujący całą kondycję duchową, twórczą i intelektualną bohaterki; i wreszcie, ktoś pozostawił w tekście skreślenia, nie wyjaśniając, czy to palimpsest, glosa, czy integralna część utworu „na czysto” – kolejne szczeliny, przez które wpada światło opowieści. To wszystko jest teoretycznym, niemałym wyzwaniem, które nadaje się na odrębny tekst. Jednak podstawowe rozpoznanie krytyczne, tj. uchwylenie mówiącej, rozpoznanie podstawowych wektorów utworu literackiego, w przypadku *Szczelinami* przesypuje mi się jak piasek między palcami. I choć są to kwestie podstawowe, wokół których rozgrywa się wielka tajemnica literatury, tym razem ogrom, gęstość i siła tekstu Szostaka wybijają mi z ręki wszelkie narzędzia, którymi warto byłoby „rozbić” jego utwór.

Jak jednak nazywać to dzieło na użytek tego raportu? Zajrzyjmy do samej książki – pełen tytuł omawianego dzieła brzmi: *Szczelinami. Powieść*. Przy pisaniu krytyki kieruję się zasadą – nie ufaj opowiadającemu, ufaj opowieści

– zatem pozwolę sobie rozstrzygnąć tutaj dylematy gatunkowe (a przy okazji narracyjne), idąc za opowieścią zbudowaną z niewierszy – utwór Szostaka to *niewieść*.

Wieloznaczności

Język jest labiryntem ścieżek. Przybywasz z jednej strony i orientujesz się w sytuacji; przybywasz do tego samego miejsca z drugiej, i już się nie orientujesz^[2].

Ale wracając do mojego uniku: najchętniej zakończyłbym ten tekst już teraz, przykładając do powieści Szostaka fragment recenzji pióra Henryka Berezny zapomnianego arcydzieła powieściowego Mieczysława Piotrowskiego *Cztery sekundy*:

Nie jestem w stanie pokusić się o interpretację dzieła Mieczysława Piotrowskiego, wydaje się zresztą, że od ręki interpretacja tego dzieła jest niemożliwa, ponieważ jest ono zbyt skomplikowane, zbyt wieloznaczne i nasuwające zbyt wiele możliwości interpretacyjnych. Nie ma w każdym razie wątpliwości, że jest to dzieło, i to jedno z najważniejszych w polskiej prozie ostatnich lat.

To wszystko prawda – słowa Berezny idealnie pasują do omawianej niewieści, wyczerpują moje zdanie o tym dziele. Chcę jednak spróbować coś o niej powiedzieć. Na najłatwiej dostępnym poziomie *Szczelinami* to obejmu-

[2] L. Wittgenstein, *Dociekania filozoficzne*, przełożył, wstępem poprzedził i przypisami opatrzył B. Wolniewicz, PWN, Warszawa 2000, s. 120.

jący prawie ćwierć wieku zapis spojrzeń, odczuć i doświadczeń poetki, w których odbijają się ciało, tworzenie, pulsujący i zmieniający się język, miłość, seks i związki, macierzyństwo, samotność, rozpacz, osobność pisarki (zwłaszcza na tle „średnich poetów średniego pokolenia”) i w końcu poczucie kresu.

Zaglądamy pod powierzchnię tekstu, dostrzeżemy coś jeszcze. Śmierć, która jest obecna w „Szczelinach” niemal od początku i to w wielu wymiarach: śmierć systemu (tu oglądana przez poetkę z tramwaju w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych), śmierć siostry, a przez to śmierć czułości matki, śmierć niewinności i znaczeń (jak w *Poniewczasie* Szostaka wracają tu słowa przekreślone w dosłownym i przenośnym sensie). Mamy tu też powtórną (po matce) śmierć macierzyństwa (relacje poetki z jej własną córką pękają), czy wreszcie echa śmierci będącej skutkiem niewyobrażalnej zbrodni, na której wznosi się tubylcze życie i po której dokonuje się przesłonięta rewolucja, żeby posłużyć się głośną pracą Andrzeja Ledera, owo wielkie przesunięcie się klas w pustkę, którą Polacy na spółkę z Niemcami zafundowali tej ziemi. Jak w tych wersach niepowieści, w których poetka narratorka odnotowuje:

meblujemy się w mieszkaniu
penetrujemy zasoby rodzinne
zgodnie z tradycją nazywając
poniemieckim pożydowskie (...)
[s. 132]

O *Szczelinami* można również powiedzieć, że to niebywały popis zarówno formy, jak i języka – to pisanie rozumiane jako śpiew i mowa (*podbijanie* rekurencji języka, a więc nieskończonej głębi mowy, poprzez nawiasy w nawiasach), jako zmiany tempa, wysokości stylu i słownika,

powtórzenia fugę, podkreślające wykreślenia, i wreszcie skoki częstotliwości – od wysokich napięć po niemal głuchy kres pustki:

puszcza
(nad garstkami
płynię płacz
ofiar nic)
nie puszcza
[s. 393]

(Przy okazji chcę tu posypać głowę popiołem za tezę zawartą w durnym pytaniu, które zadałem pisarzowi w rozmowie przed dwoma laty, sugerującą jakoby Wit Szostak stronił od eksperymentów/ryzyka językowego; niczego bardziej niezgodnego z rzeczywistością powieści autora *Fugi* nie można było palnąć).

Można by zatem podsumować, że to skandalicznie doskonale dzieło, w którym (meta)świadomość literacka Wita Szostaka nie pozwala na pęknięcia i nierówności, idealnie nadaje się do rozpasanych krytycznych interpretacji. Znajdziemy tu też bowiem, jak zawsze u Szostaka, powiązania i dialogi tak z własną twórczością (w formie i użytych środkach, jak choćby iteracje, *Szczelinami* współbrzmni na przykład z *Fugą* – moim zdaniem, jedną z najważniejszych powieści po 1989 roku), jak i twórczością innych pisarzy i poetów. (...) Można byłoby zatem ciągnąć i próbować popisów krytycznych, zagnieżdżając zasłużone „och!” i „ach!” w gęstym tekście pozytywnej krytyki.

Doświadczenie nadziei

Ja się jednak poddam, bo spotkały mnie *Szczelinami* w rozpadlisku życiowym i kierowały do mnie głosy, które pozwalały spojrzeć *naprzód*. Była ta lektura (a raczej: jest, bowiem to niepowieść do regularnie powracającego (od)czytania, niepowieść-na-stolik-

-nocny, niepowieść-do-plecaka) namacalnym dowodem na to, że literatura niesie żywe *doświadczenie* nadziei – tę wyłącznie ludzką duchową praktykę ocalenia. By wyjaśnić, o co chodzi, musiałbym dokonać tu swoistego eks-hibicjonizmu. Nie czas to jednak i miejsce, a i ryzyka ckliwych obsunięć i śmieszności są zbyt wysokie. Wystarczy powiedzieć, że niepowieść Szostaka otwiera szczeliny codzienności, pozwala dostrzec sens na granicy bezsilności i rozpaczy, sens w obliczu śmierci – śmierci zawieszanej nad głową, śmierci pod stopami, śmierci wżerającej się w ciało i język. Szostak konfrontuje mnie ze stratą, bezsilnością, horyzontem kresu – brutalnie, ale nie bez wskazywania wyjść. (...)

Naga siła języka

Poddaję się dlatego, że niemal na początku lektury uderza mnie w twarz taki oto niewiersz:

dawniej śmierć przemawiała przez
mleko
kiedy od świętego oddzielała się
serwatka
wiadomo było że przyszła w każ-
dym razie
tak było w przypadku pani Marii
z trzeciego piętra za windą na lewo
po trzech dniach ją znaleźli a teraz
już
nie roznoszą mleka o świcie i cza-
sem
ludzie leżą tygodniami a życie
toczy się dalej
w sąsiedztwie
w innej pieśni pani Maria mogła
mieć
swoje żale i dumy może winy
i wrzody
może kogoś ratowała a może

wydawała
ale to nie ta pieśń ta jest o świętym
mleku
po prostu ją wynieśli
[s. 20]

Wobec tak potężnej, nagej siły języka jestem po prostu bezsilny, nie tylko krytycznie, ale tak po ludzku – jak przygodny czytelnik przygodnie odkrytego w księgarni tekstu. Sięgając po chwyt interpretacyjne (nie w znaczeniu sztuczki, ale w znaczeniu *uchwycenia się tekstu* i tego, jakie przestrzenie otwiera) musiałbym sięgać po tę nadużywaną frazę krytyczną – „ten tekst robi z *nami* to i tamto” albo „Szostak zdaje się *nam* mówić...”. To zabieg recenzencki tyleż nadużywany, co nieuprawniony (sam nie jestem tu bez winy).

Nie wiem, co z Państwem zrobi ten potężny tekst, jak przetka sieć Waszych wrażliwości. Nie mnie wyklądać, co Szostak chciał powiedzieć – mówiąc szczerze, może on sam tego nie wie albo nie wie do końca, tak mi się przynajmniej wydaje. Mogę wyłącznie próbować zdać relację z tego, co *Szczelinami* zrobiło ze mną i od pierwszego zdania tej *nierecenzji* staram się to robić. (...)

Gnać w nieznanne

Poddaję się dlatego, że *Szczelinami* to bolesna niepowieść, w której język zmaga się z mrokiem i śmiercią, zaciera paraliżujące *po-czucie kresu*. Zawieszona między gatunkami, formami, rejestrami, jest pieśnią, mową, opowieścią, szeptem, krzykiem, wielką narracją *małego* życia, skrawkami prawdy rzuconym pod nogi.

To *starcie*, rzecz jasna, jak każda powieść, z góry skazane jest na klęskę. Jest więc – używając sformułowania pisarza ze wspomnianej wcześniej rozmowy – kolejnym raportem z po-

rażki. Wielkość owej porażki polega na tym, że *klęska* pisarza spotyka się tu z klęską mnie czytelnika/krytyka. Cóż może pisarz więcej, coż może czytelnik więcej... Szostak, jak nikt inny w polskiej literaturze, wyszedł do mnie znowu nową *formą*, znowu nowym *językiem*, znowu o *d n a w i a p o w i e ś ć*; słowem niepowieść krakowskiego pisarza robi to, co każde ważne dzieło literackie powinno próbować zrobić – sięga poza horyzont, w nieznanne. (...)

Preparowanie żab

I wreszcie poddaję się też dlatego, że „Szczelinami” to delikatne, kłęczaste dzieło (rozrasta się jak chce, czy ściślej – jak chce tego czytelniczka) i każda autorytatywna interpretacja, interpretacja *zamykająca* (w dobie bolesnych deficytów uważniejszej krytyki o to nietrudno) nie wydaje mi się uprawniona. Poza tym, parafrazując Flannery O’Connor, zawsze istnieje ryzyko, że taka *solidna krytyczna wykładnia* zrobi z tej skandalicznie niemożliwej niepowieści spreparowaną żabę, zastygłą w słoiku z formaliną z wszystkimi narządami na wierz-

chu. Bo kimże jest krytyk w ostateczności, jeśli nie preparatorem żab? Tym razem nie chcę, odkładam skalpel i poddaję się.

Chcę bowiem wracać do tej niepowieści, bez obciążeń, pozwolić sobie na głosę, zostawić otwarte drzwi do jeszcze-pisania, do wspólnego z narratorką-poetką medytowania, zagłębiać w szczeliny, badać światło, stawiać czoła ponurym mrokom słabnącego życia, bezsilności – ponawiać próby, nieustanne próby, raz jeszcze, chybić, chybić z pamięci i na głos, chybić tak, żeby było warto chybić jeszcze raz lepiej:

podobno rozcinanie
blizn nie boli smutek
wycieka otwartymi
szczelinami tylko raz
[s. 385]

Pełna wersja niniejszego tekstu ukazała się w tygodniku internetowym „Kultura Liberalna”, nr 701 (25/2022) z 14 czerwca 2022 r.

<https://kulturaliberalna.pl/2022/06/14/marcin-belza-recenzja-wit-szostak-szczelinami/>